

O roli UNESCO, rozwoju nauk biologicznych i miejscu Polski w nauce światowej

Rozmowa z prof. dr hab. Maciejem J. Nałęczem, dyrektorem Departamentu Nauk Podstawowych i Technicznych UNESCO w Paryżu

– Mija właśnie półtora roku od chwili objęcia przez Pana Profesora funkcji dyrektora Departamentu Nauk Podstawowych i Technicznych UNESCO w Paryżu. Proszę powiedzieć, jaki jest zakres Pana obowiązków i uprawnień, a także miejsce tego departamentu w całej strukturze UNESCO.

– UNESCO jest czymś w rodzaju międzynarodowego ministerstwa. W każdym razie przypomina je pod względem biurokratycznej i hierarchicznej struktury w ramach Organizacji Narodów Zjednoczonych. Powstało w 1948 r., więc stosunkowo późno jak na agendę ONZ. Jego narodzinom towarzyszyło zresztą wiele dyskusji i początkowo instytucja ta miała ograniczać się tylko do spraw edukacji i kultury, w końcu jednak, dzięki staraniom Aldousa Huxleya, w zakres jej zainteresowania weszła również nauka. I tak już pozostało do dzisiaj: UNESCO jest jedyną agendą ONZ statutowo zajmującą się sprawami nauki, a zatem instytucją unikatową w światowej skali. W każdym razie dotyczy to nauk podstawowych. W mojej codziennej praktyce przekłada się to na masę pracy. Sektor nauki UNESCO jest największy pod względem ogólnej liczby zatrudnionych, chociaż więcej pracowników naukowych skupia sektor edukacji. Kiedy półtora roku temu wygrałem konkurs na stanowisko dyrektora departamentu, instytucja ta miała już za sobą pierwszy etap restrukturyzacji. Tę zmianę odczuwam niejako na własnej skórze, gdyż mój departament jest jej bezpośrednim skutkiem. Kiedyś struktura sektora nauki była o wiele bardziej skomplikowana i składało się na nią kilka departamentów (w tym nauk matematyczno-fizycznych, chemicznych, biologicznych i technicznych), co oznaczało cztery duże zespoły ludzkie, pracujące nad konkretnymi dziedzinami. Otóż w tej chwili, w miejsce wyżej wymienionych, utworzono jeden departament nauk podstawowych i technicznych, a więc faktycznie obejmujący wszystkie możliwe dyscypliny naukowe nauk ścisłych – by tak rzec – klasyczne, z którymi mamy

styczność od początku naszej szkolnej edukacji. Zostałem szefem tego departamentu, w związku z czym moja rola i pozycja w obecnej strukturze UNESCO nakłada na mnie sporo obowiązków i odpowiedzialności.

– Jak to się ma do ogólnych trendów we współczesnej nauce?

– Kierunek rozwoju światowej nauki jest dzisiaj nieco odmienny i mniej skoncentrowany na klasycznych dziedzinach. Powoli najważniejsze stają się dziedziny, których do niedawna jeszcze nie było. Powstają one w efekcie zapotrzebowania na określone badania, w wyniku połączenia kilku dyscyplin tradycyjnych. Doskonałym tego przykładem jest biologia molekularna, będąca swoistą fuzją elementów biologii (zwłaszcza genetyki), fizyki i chemii, a której badania znajdują zastosowanie w rolnictwie i medycynie. Można też wspomnieć o inżynierii biomedycznej, opierającej się na wspólnym obszarze takich nauk podstawowych jak chemia i fizyka, oraz nauk inżynieryjnych, medycyny i biologii. Te nowe dziedziny rozwijają się dzisiaj dynamicznie, więc rzeczywiście był sens w reorganizacji sektora nauki, który w obecnej formie bardziej przystaje do realiów, aczkolwiek praktyka codzienna pokazuje, że stare podziały i pewna dominacja tradycyjnych dziedzin wciąż są obecne. Chciałbym również zauważyć, iż wspomniana fuzja poprzednich departamentów nastąpiła w momencie mojego przyścia do UNESCO, wobec tego przejąłem cztery różne zespoły pracowników, przyzwyczajonych do pracy w całkiem innym układzie niż w jednym zespole z kolegami, z którymi do wczoraj jeszcze ze sobą konkurowali w zabiegach o pieniądze. Tak więc w układach ludzkich i programowych jest to może bardziej skomplikowane, natomiast ewidentnie daje większe możliwości realizacji nowych pomysłów.

– Wspomniał Pan o programach badawczych. Czym są i jak funkcjonują programy UNESCO? Jak powstają nowe programy?

– Podstawową działalnością UNESCO jest tzw. regularny program, proponowany przez departamenty w uzgodnieniu z krajami członkowskimi organizacji i akceptowany raz na dwa lata w czasie Konferencji Generalnej. Konferencja (wszystkie kraje członkowskie) głosuje nie tylko nad każdą propozycją merytoryczną, ale też przyznaje na każdą działalność odpowiedni budżet, będący częścią całego budżetu UNESCO określonego na dwa lata ze składek członkowskich. Zatwierdzenie odbywa się większością głosów. Konferencja Generalna jest najwyższym ciałem organizacji, decydującym o głównych działaniach w czasie dwóch lat. Jej obrady są zatem bardzo ważnym wydarzeniem dla organizacji, a wprowadzenie nowych elementów do programu, ze względu na proces zatwierdzania, jest uważane za bardzo trudne. Regularny program jest w głównej mierze kontynuacją poprzednich działań, z niewielkimi modyfikacjami, bo taka jego wersja ma największe szanse na ogólną aprobatę w głosowaniu. Kraje, którym zależy na wprowadzeniu nowych elementów zgłaszają tzw. propozycje rezolucji dla Konferencji Generalnej (np. Polska będzie zgłaszała w tym roku taką propozycję w sprawie uznania ważności kształcenia podyplomowego w zakresie medycyny molekularnej). Jeśli rezolucja jest przyjęta, odpowiedni departament UNESCO musi wspomóc daną działalność w okresie następnej „dwulatki” i złożyć z tego sprawozdanie na kolejnej Konferencji Generalnej. W skrócie zatem – regularny program jest konserwatywny, mało podatny na zmiany (z mojej „działki” np. aktywności są tu wciąż podzielone na klasyczne dziedziny nauki), ale za to pewny, gdyż ma „nietykalny” budżet, ustalony na dwa lata.

Zupełnie inną formą działalności są tzw. programy międzyrządowe. Powstają one również za pośrednictwem Konferencji Generalnej, ale są powoływane do życia jako wspólne przedsięwzięcia kilku rządów, a niekoniecznie wszystkich państw członkowskich (choć powstają i pozostają zawsze otwarte na wszystkie kraje pragnące w nich uczestniczyć). Taki program ma niezależny budżet, tworzony z niezależnych (dodatkowych) składek rządów wchodzących do programu. Jest też odrębnie zarządzany, przez ciało (przeważnie) złożone z przedstawicieli krajów uczestniczących w programie, wybierane przez Radę Wykonawczą UNESCO. Taką strukturę mają np. powszechnie znane programy UNESCO jak International Oceanographic Commission (IOC), Man and Biosphere (MAB) czy International Hydrological Program (IHP). Ich zaletą jest duża niezależność od struktur UNESCO, z niezależnością finansową włącznie, wadą natomiast – zbiurokratyzowanie i brak naukowców w ciałach zarządzających (gdzie zasiadają „przedstawiciele rządów”, czyli rzadko kiedy naukowcy). Pewną ulepszoną wersją takich programów są „programy międzynarodowe”, zbudowane podobnie do poprzednio opisanych, ale zarządzane przez „ekspertów” (naukowców) powoływanych przez dyrektora generalnego UNESCO, jedynie „w konsultacji” z krajami członkowskimi. Taki jest np. Międzynarodowy Program Geologiczny (ICGP), taki też ma być tworzony właśnie przeze mnie nowy program w naukach podstawowych – Międzynarodowa Platforma Nauk Podstawowych (IBSP), o której powstaniu dyskutować będzie Konferencja Generalna na jesieni tego roku.

Wreszcie ostatnią możliwością tworzenia programu jest tzw. program pozabudżetowy. Jest to program powstający na podstawie porozumienia między UNESCO i nawet pojedynczym krajem członkowskim (ale może ich być kilka), finansowany całkowicie przez kraj „zamawiający” (stąd pozabudżetowy, czyli poza normalnym budżetem organizacji), do którego powołania niewymagana jest zgoda Konferencji Generalnej ani Rady Wykonawczej, decyduje sam dyrektor generalny. Środki umieszczane są na specjalnym koncie UNESCO (w ramach mechanizmu tzw. *funds in trust*), a zarządzane wspólnie przez UNESCO i fundatora. Zwyczajowo realizacja takich programów odbywa się pod ścisłą kontrolą finansową i prawną specjalnej jednostki kontrolnej ONZ. Zaletą tych programów jest wielka elastyczność, szybkość powoływania (i rozwiązywania), wadą natomiast – ograniczoność środków, bo rzadko który kraj funduje program o wielomilionowym budżecie. Ale są wyjątki charakteryzujące się wielką szczodrością, do których należą Włochy, kraje skandynawskie, Japonia czy Libia. Na przykład w moim departamencie mamy w tej chwili ponad 20 mln dolarów na kontach pozabudżetowych, prowadząc np. program walki z AIDS w Afryce finansowany przez Włochy, program nauczania chemii w Afryce i w krajach arabskich finansowany przez Libię czy program poświęcony tradycyjnej medycynie ludowej w krajach Dalekiego Wschodu, finansowany przez Japonię.

Z programów, jakie realizuje UNESCO wiele jest takich, o których dowiedziałem się dopiero z chwilą przyścia do tej instytucji. Trudno tu zresztą mówić o samych programach, skoro faktycznie stanowią one zasadniczą i wszechobecną formę realizacji rozmaitych, a licznych projektów. Wiedza o takiej organizacji jak UNESCO jest zupełnie inna, kiedy patrzy się na nią z zewnątrz i inna, kiedy człowiek staje się elementem, trybem całej tej maszyny. Z jednej strony jest to rzeczywiście bardzo zbiurokratyzowana, ociążała i trudna w praktycznym działaniu struktura, w której podejmowanie pewnych decyzji wlecze się miesiącami. Z drugiej strony jest to nadzwyczaj interesujący mechanizm, który umożliwia realizację ta-

kich pomysłów, jakich nie dałoby się zrealizować w żaden inny sposób. UNESCO, jako organizacja międzyrządowa, pozwala na bezpośredni dostęp do poszczególnych rządów, a to oznacza dostęp do decydentów w danym kraju, regionie, części świata, a także – często – dostęp do dodatkowych środków finansowych. Dobrym przykładem może być program SESAME, realizowany na Bliskim Wschodzie (nawiasem mówiąc, program, którego przyszłość bardzo teraz zależy od rozwoju sytuacji w Iraku). Otóż w tym rzeczywiście interesującym programie uczestniczy wiele krajów arabskich, Izrael, ale i szereg krajów europejskich. A zaczęło się od tego, że rząd niemiecki przekazał UNESCO synchrotron, urządzenie pracujące od 10 lat w Berlinie pod nazwą BESSY-1, służące do napędzania cząsteczek elementarnych. Rozpędzone w specjalnej „tubie” elektrony emitują światło o szerokim spektrum, które zbiera się w postaci określonych wiązek (*beam lines*) i następnie używa do badań polegających głównie na śledzeniu dyfrakcji określonych promieni świetlnych przez badaną strukturę. Można w ten sposób badać strukturę kryształów (mineralnych i biologicznych), strukturę syntetycznych molekuł, powierzchni materiałów, skład atomowy próbki itd. Zastosowania metody są rzeczywiście imponujące: od współczesnej biologii, chemii, nauk materiałowych, geologii aż po archeologię. Ponieważ synchrotron został w Berlinie zastąpiony urządzeniem nowszej generacji, Niemcy postanowiły przekazać go UNESCO w celu wykorzystania w innym, uboższym ośrodku badawczym. Rozpisałyśmy międzynarodowy konkurs, w którym wygrała Jordania jako kraj przyszłego wykorzystania synchrotronu. Na decyzji zdecydowanie zaważyła oferta dołożenia przez Jordanię ok. 6 mln dolarów na budynek przyszłego centrum badań synchrotronowych oraz chęć sfinansowania ewentualnego unowocześnienia oferowanego sprzętu. Laboratorium z Uniwersytetu Stanforda w Stanach Zjednoczonych zgłosiło się z kolei z propozycją, że może wykonać, z wykorzystaniem własnych części, tzw. *upgrade*, czyli podniesienie jakości urządzenia. Z przygotowanego już planu technicznego wynika, że *upgrade* zapewnił uzyskanie poziomu technologicznego dorównującego najnowocześniejszym maszynom tego typu. W ten sposób powstał projekt SESAME, zakładający organizację ośrodka na Bliskim Wschodzie (SESAME to skrót angielskiej nazwy ośrodka: Synchrotrone-light for Experimental Science and Applications in the Middle East). Obecnie trwa budowa ośrodka, a zdemontowana maszyna BESSY-1 została już przetransportowana do Jordanii i czeka w specjalnym hangarze pod Ammanem na zainstalowanie. Części ze Stanfordu też są już na miejscu. Ale rzecz ciekawa, która chyba mogła się zdarzyć tylko „pod skrzydłami” UNESCO – w budowie ośrodka bierze udział kilka krajów regionu, w tym Izrael i Palestyna. Fenomen i siła nauki są tak wielkie, że przedstawiciele tych krajów, naukowcy, przełamując opory polityczne i narodowe, pomimo toczącej się *de facto* w Izraelu wojny, uczestniczyli w obradach przy wspólnym stole, a obecnie są pełnoprawnymi członkami międzynarodowego konsorcjum o nazwie SESAME. Ponadto do tego grona państw należą: Iran, Turcja, Grecja, Bahrein, Egipt, Pakistan, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Kuwejt i Maroko, a „członkami obserwatorami” są Cypr, Francja, Niemcy, Wielka Brytania, Japonia, Rosja i Stany Zjednoczone. Po rozpoczęciu pracy ośrodek ten ma realne szanse na pozytywne promieniowanie w tym skonfliktowanym politycznie towarzystwie, na wszystkie uczestniczące kraje. Być może odegra też rolę w odbudowie zniszczonego wojną Iraku, jeżeli tylko kraj ten będzie zainteresowany rozwojem nauk fizykochemicznych i kształceniem własnych kadr naukowych.

– Część realizowanego w Pana Departamencie programu UNESCO była też przedmiotem zeszłorocznej konferencji w paryskiej Stacji PAN.

– Tak, były to zresztą dwa różne spotkania. Pierwsze, w lutym, dotyczyło problemu finansowania badań naukowych i było bardziej „administracyjne” niż naukowe, ale bardzo ważne. W maju 2003 r. mieliśmy kolejną konferencję, tym razem zorganizowaną przez UNESCO, Europejską Akademię Nauki, Sztuki i Literatury i Stację PAN, a poświęconą pojawianiu się nowych patogenów, czyli czynników chorobotwórczych, o których wciąż mało wiemy, a które stanowią poważne zagrożenie dla populacji ludzkiej. W 2002 r., kiedy planowaliśmy to spotkanie, nie zdawaliśmy sobie sprawy, że okaże się ono tak dramatycznie na czasie¹. Myślę tu o wirusowym zapaleniu płuc (SARS), które było przedmiotem osobnej sesji. A wzięli w niej udział najlepsi europejscy specjaliści od chorób zakaźnych, którzy uaktualnili tematy swoich wystąpień na kilka dni przed konferencją, żeby dać nam przekaz jak najbardziej „na dziś”. Ponadto osobne sesje zostały poświęcone chorobie Alzheimera, AIDS oraz innym groźnym wirusom, jak wirus Ebola. Materiały z tej konferencji będą dostępne w specjalnym numerze „Science and Society”, czasopiśmie wydawanym przez Stację PAN w Paryżu i z pewnością zainteresują czytelników. Następna konferencja, zorganizowana wspólnie z UNESCO, z Akademią Europejską i Stacją PAN, dotyczyła organizmów genetycznie modyfikowanych i stanowiła wstęp do większej konferencji, jaką planujemy w przyszłym roku w jednym z krajów afrykańskich, przypuszczalnie w Kenii, gdyż to właśnie Afryka jest obecnie najbardziej zainteresowana problemem „GMO” oraz potrzebuje wiedzy i rady na ten temat.

– W związku z tymi rozlicznymi programami UNESCO wiele podróżuje Pan po świecie?

– To prawda. UNESCO jest organizacją, w której nie można skutecznie pracować nie podróżując. Wiele programów realizuje się w terenie, daleko od centrum w Paryżu, nie można ich koordynować bez znajomości realiów i ludzi, którzy na miejscu, u siebie, je wdrażają. Równocześnie wyjeżdża się na różne konferencje, organizowane w odległych zakątkach globu. Przez minione półtora roku rzeczywiście trochę już świata zwiedziłem – od Brazylii, poprzez Stany Zjednoczone, Bliski Wschód, kraje afrykańskie, aż po Daleki Wschód. W Brazylii np. było to związane z formowaniem się sieci placówek naukowych Ameryki Południowej, zwłaszcza w dziedzinie matematyki i fizyki. UNESCO powinno być obecne na tych spotkaniach, gdyż w przypadku krajów rozwijających się organizacja ta może wiele pomóc np. w kształceniu młodych kadr nauki, elit intelektualnych, czy wdrażaniu nowych technologii. Wprawdzie z usług UNESCO chętnie korzystają kraje rozwinięte, ale one dałyby sobie radę również bez naszego udziału, głównym „odbiorcą” naszej pomocy jest Trzeci Świat.

Z tym wątkiem działalności koresponduje inny program realizowany w moim departamencie – *Powerty Eradication Through Science and Technology*, który ma na celu walkę z ubóstwem poprzez rozwój nauki i techniki. Nie ulega bowiem wątpliwości, iż istnieje bezpośrednia zależność między poziomem wiedzy danego społeczeństwa i stanem jego zamożności. Trudno sobie wyobrazić rozwój ekonomiczny i kulturalny jakiegokolwiek kraju bez inwe-

¹ Międzynarodowe spotkanie na temat Basic Sciences and Emerging Pathogenic Factors odbyło się w dniach 17–18 maja 2003 r. w Stacji Polskiej Akademii Nauk w Paryżu.

stycji w edukację, wiedzę, naukę. Stąd nasze największe zainteresowanie Trzecim Światem, a zwłaszcza krajami Czarnej Afryki, tj. leżącymi na południe od Sahary. Jest to rejon charakteryzujący się największymi problemami zdrowotnymi – myślę o eksplozji zachorowań na AIDS, które dosłownie dziesiątkuje tamtejszą ludność oraz o panującej tam niewyobrażalnej nędzy. Dramatyzm tej sytuacji potęguje fakt, iż kraje te są zasobne w cenne złoża mineralne, które w normalnych warunkach politycznych zapewniłyby im doskonały rozwój gospodarczy, cywilizacyjny, naukowy i oczywiście przyniosły dobrobyt. Tylko jak to zrobić, żeby ten mechanizm zaczął właściwie działać? I tu właśnie pojawia się pole do działania dla takiej organizacji jak UNESCO. To w właśnie Czarnej Afryce mój departament realizuje najpoważniejszy program mający na celu upowszechnianie podstaw chemii, to na nasze zlecenie powstał podręcznik autorstwa grupy międzynarodowych specjalistów od edukacji chemicznej, głównie zresztą Amerykanów. Podręcznik ten został przetłumaczony na 28 lokalnych języków i za pośrednictwem ministerstw edukacji tamtych krajów rozprowadzony do szkół i wszelkich innych ośrodków edukacyjnych. Ponadto organizujemy i współfinansujemy praktyczne kursy, dzięki zaś współpracy z firmami chemicznymi i farmaceutycznymi ośrodki afrykańskie bezpłatnie otrzymują podstawowe odczynniki niezbędne do badań edukacyjnych.

Inny nasz program wdrażany w najuboższych krajach Czarnej Afryki dotyczy rozwoju energetyki opartej na źródłach odnawialnych – energii słonecznej, ale także wodnej, geotermicznej i chemicznej. Skupiamy się na kształceniu specjalistów i tworzeniu regionalnego lobby na rzecz inwestycji w tej dziedzinie. Jak ważna to sprawa, niech świadczy fakt, iż społeczeństwa tych krajów często jeszcze w ogóle nie korzystały z elektryczności.

– Jako biolog molekularny reprezentuje Pan jedną z najprężniej rozwijających się dziedzin nauki, tymczasem pochłania Pana administracja, zarządzanie programami naukowymi i społecznymi, upowszechnianie wiedzy. Czy znajduje Pan jeszcze czas na prowadzenie własnych badań? A jeśli tak, to jakich?

– Moja obecna praca rzeczywiście nie daje się pogodzić z pracą ściśle naukową. Ale nie jest to sytuacja dla mnie nowa. Jak się kieruje poważnym laboratorium lub też – jak w moim przypadku – dużą placówką naukową, czyli Instytutem Biologii Doświadczalnej im. Marcielego Nenckiego w Warszawie, to oczywiście ma się tyle obowiązków, że już nie starcza czasu na inne zajęcia. Tak więc tutaj także bezpośrednio nie uczestniczę w pracy doświadczalnej. Natomiast zarówno moja praca, jak i zainteresowania wymuszają niejako automatycznie kontakt z literaturą fachową. Żeby promować i realizować takie czy inne projekty UNESCO, muszę na bieżąco orientować się w aktualnych wydarzeniach naukowych. Pomaga mi w tym i ta okoliczność, że pełnię funkcję naukową w Europejskiej Federacji Towarzystw Biochemicznych (FEBS), gdzie jestem przewodniczącym komisji stypendialnej. Dzięki temu regularnie otrzymuję z całej Europy wnioski od młodych ludzi o sfinansowanie ich zagranicznych pobytów naukowych i muszę nie tylko z tymi wnioskami się zapoznać, ale także właściwie je ocenić. Żeby rozumieć, o co w nich chodzi, wiedzieć, czy wniosek rzeczywiście jest oryginalny i zasługuje na finansowanie, muszę być na bieżąco z literaturą światową, poznawać nowości z danej dziedziny. Poza tym utrzymuję stały kontakt z moim laboratorium w Instytucie Nenckiego, którym kieruje obecnie moja żona, śledzę wyniki, współredaguję prace. Niedawno np. miałem okazję zapoznania się z doktoratem naszej młodszej koleżanki, napisanym pod kierunkiem mojej żony. Doskonała praca. Jej autorka otrzymała sty-

pendium ufundowane przez polską firmę l'Oréal, w której naukowe projekty *nota bene* byłem włączony już w Polsce. Obecnie jestem członkiem jury światowego konkursu tej firmy, prowadzonego pod auspicjami UNESCO. To piękna, jedna z niewielu tak pożytecznych inicjatyw polegających na tym, że prywatne przedsiębiorstwo funduje wyróżnienia pieniężne uzdolnionym młodym kobietom za osiągnięcia naukowe. W edycji światowej, sponsorowanej wspólnie przez l'Oréal i UNESCO, przyznajemy rocznie 6 nagród – po jednej na każdy kontynent – i 30 stypendiów (po pięć na kontynent). Nagrody otrzymują światowej klasy badaczki, powszechnie uznane w swojej dziedzinie. Stypendia natomiast przyznajemy młodym uzdolnionym badaczkom, na progu ich kariery, na podstawie oceny zaproponowanego programu badawczego, jest to zatem forma grantu na badania. Takie stypendium pozwala przez rok spokojnie żyć i pracować w dowolnie wybranym laboratorium na świecie, które zgodziło się na realizację zaproponowanych badań. Konkurencja jest ogromna, ale i prestiż wyróżnień wysoki. Dość powiedzieć, że w skład jury wchodzi m.in. nobliści i śmietanka ze świata nauki (reprezentowane są wszystkie kontynenty), a współpracują z nim postaci ze świata kultury i polityki, jak np. aktorki, słynne dziennikarki, ministrowie, a czasem nawet „koronowane głowy”. Skład jury w dużej części zmienia się co rok, ale za każdym razem skupia postaci wybitne, często z pierwszych stron gazet. Kiedy więc wyróżnienia takie spotykają młode Palestynki, kobiety z Iranu, z Pakistanu czy z Czarnej Afryki, gdzie ich szanse na wartościową pracę naukową są minimalne, a trudności ogromne, stanowi to wielkie wsparcie i potwierdzenie wartości już poniesionych wyrzeczeń. Jest to też wiadomość dla innych, że warto uprawiać naukę, nawet jeśli się jest kobietą w kraju muzułmańskim. To smutne, jak wciąż wielki i lekkomyślnie marnotrawiony jest potencjał ludzki naszego świata. Ostatnio nagrodziliśmy stypendium Indiankę badającą zioła z Amazonii, z których jej babka niegdyś przygotowywała lecznicze wywary, a ona w tej chwili pragnie je przebadać, stosując najnowszą wiedzę biologiczną i chemiczną. Zamierza zidentyfikować rośliny, którym być może grozi wyginięcie i które trzeba ratować, określić ich realne właściwości lecznicze. Ma już zgromadzoną kolekcję tych roślin, a badania przeprowadzi w nowoczesnym laboratorium Spring Harbor w Stanach Zjednoczonych.

– Jak badania w dziedzinie biologii molekularnej wyglądają dzisiaj w Polsce? Wspominał Pan już o swoim Instytucie im. Marcelego Nenckiego w Warszawie. Wiadomo, że jest to placówka o światowym poziomie, a jak to wygląda w skali kraju?

– Sytuacja jest oczywiście zróżnicowana. Ogólnie uważam, że nauka w Polsce była mocna i pozostaje mocna. Są ośrodki specjalizujące się w wybranych dziedzinach, szkoły matematyczne, fizyczne itp. Podobnie rzecz się ma w przypadku biologii. Obok kilku czy kilkunastu ośrodków silnych, reprezentujących światowy poziom, istnieją ośrodki słabsze. Jest ich sporo i – co najgorsze – nie bardzo jest pomysł, co z nimi zrobić. Po 1989 r. przeprowadzono kilka prób ich zreformowania, żadna nie przyniosła istotnych zmian. Wiadomo, że jakiegokolwiek zmiany, poprawa sytuacji, ale nawet likwidacja zbędnych placówek, wymagają nakładów. Tymczasem pieniędzy na jakiegokolwiek reformy w nauce nigdy w Polsce nie było i nie ma. Ale tu dotykamy innego bolesnego problemu – finansowania nauki w ogóle. To, co się dzieje w tej dziedzinie w ostatnich latach w Polsce, to tragedia i skandal świadczący o kompletnym braku zrozumienia skutków cywilizacyjnych takiej polityki. Fakt ten, bardzo niebezpieczny dla przyszłości naszego kraju, będzie się mścić w sposób nieodwracalny. Dzisiaj

o kierunkach rozwoju cywilizacyjnego decydują tylko te kraje, które na naukę przeznaczają po kilka procent swojego dochodu narodowego. I nie chodzi tu tylko o tak bogate państwa jak Stany Zjednoczone, Niemcy czy Francja. Przykład Finlandii – kraju, któremu groziła za-
paść gospodarcza po upadku ZSRR – świadczy, że jedynie inwestycje w nowoczesne technologie zapewniają bezpieczny rozwój ekonomiczny. To przecież fińska Nokia w kilka lat podbiła rynki telekomunikacyjne świata.

– Gdyby miał Pan wymienić najważniejsze badania i osiągnięcia w dziedzinie biologii molekularnej dzisiaj, to na co Pan by wskazał?

– Tych wątków jest kilka. Dało im początek rozpoznanie struktury DNA, następnie przyszło poznanie kodu genetycznego, jego mechanizmu i zasad funkcjonowania, przełożenie na produkcję białek, roli rybosomu (RNA), poznanie procesu, który to wszystko reguluje. Badania te pozwoliły odkryć strukturę genów odpowiedzialnych za budowę konkretnych białek, genów odpowiedzialnych za funkcjonowanie innych genów, słowem, regulację tego, co nazywamy życiem. Poznaliśmy zasady cyklu komórkowego, tego wszystkiego, co rządzi podziałem komórki, jak to się dzieje, że jedne komórki się dzielą, a inne nie. Odkryliśmy proces programowanej śmierci komórki i jego odwrócenia poprzez niekończące się podziały komórki, których nie można zahamować i co z kolei prowadzi do „nowotworzenia”. Jest to ogrom wiedzy, jakiej jeszcze kilkadziesiąt lat temu nie byliśmy w stanie sobie wyobrazić. Wiedza ta już jest, lub wkrótce będzie, przełożona na konkretne zastosowania praktyczne np. w rolnictwie i medycynie. Żyjemy w wieku biologii, to dziś najważniejsza, najszybciej rozwijająca się nauka.

– No właśnie. Z tymi badaniami wiąże się ogromne nadzieje w przypadku niektórych chorób, np. dziedzicznych. Mówi się o możliwości rozpoznania skłonności człowieka do zachorowań na określone choroby. Jest to wiedza, która musi budzić podziw, lecz z drugiej strony rodzi wielkie emocje i obawy. Tak jest w przypadku roślin spożywczych, powstałych w wyniku interwencji uczonych w ich kody genetyczne. Czy badacze są w stanie dzisiaj powiedzieć uczciwie, że owe zmodyfikowane produkty żywnościowe rzeczywiście nie mają negatywnego wpływu na organizm człowieka?

– Strach zawsze towarzyszył rozwojowi nauki. Jest dla mnie sprawą oczywistą, że rozwoju nauki nie da się powstrzymać, że świat pójdzie tą drogą. Tu chciałbym zwrócić uwagę na ciekawą różnicę, jaką można dostrzec pomiędzy mentalnością europejską i amerykańską. Stara Europa wciąż stoi na stanowisku, iż organizmy genetycznie zmodyfikowane są niebezpieczne dla zdrowia, zbyt mało o nich wiemy i nie należy nimi manipulować. Amerykanie tymczasem całkowicie w to weszli i oczywiście wygrali ekonomicznie. Ich rolnictwo stoi dzisiaj na najwyższym światowym poziomie i zalewa inne kraje tanią żywnością. To prawda, że u wielu ludzi pojawia się coraz więcej uczuleń na rozmaite preparaty, ale czy musi to mieć jakiś związek z genetyką, skoro w naszych czasach tak bardzo wzrosło zanieczyszczenie środowiska?

Pojawiające się problemy trzeba spróbować zrozumieć, zbadać, znaleźć środki zapobiegawcze. Myślenie, że nasza przyszłość musi się opierać na powstrzymaniu rozwoju nauki, jest absurdalne. Kiedy urodziła się słynna owca Dolly, pojawiły się obawy o próby sklonowania człowieka. Było pewne, że ktoś zechce przeprowadzić ten eksperyment. Takie próby należy piętnować, ale samo zagadnienie nie powinno prowadzić do hamowania rozwoju nauki. Dolly zresztą przyczyniła się do ogromnego postępu w zrozumieniu mechanizmów sta-

rzenia i zagrożeń drzemiących w projektach klonowania – być może jej wczesna śmierć była wręcz ważniejszym wydarzeniem od narodzin.

Nauka jest procesem akumulacji doświadczeń i analizy ich wyników, uczymy się na błędach. Nad kierunkami badań trzeba dyskutować z filozofami i etykami nauki, taka dyskusja pozwala na ustalenie jakiegoś drogowskazu, rozwiewa wątpliwości. Jestem natomiast przeciwny zakazom, gdyż wiadomo, że nie są one w praktyce przestrzegane, a zatem nie spełniają swojej roli.

Jest prawie pewne, iż ten szalony rozwój biologii molekularnej, jaki dzisiaj obserwujemy, za parędziesiąt lat realnie i istotnie odbije się na naszym życiu codziennym. Już teraz techniczne możliwości wykorzystywania odkryć biologii w medycynie są niewiarygodne. I nie chodzi bynajmniej tylko o metody klonowania czy też sztucznego zapłodnienia, ale choćby o możliwość sterowania procesem podziału komórek, różnicowania tych komórek. Z komórek macierzystych można wyhodować inne, także własne „zapasowe” organy. Gdyby np. zaistniała potrzeba przeszczepu wątroby czy nerki, można będzie je wyhodować. Skórę z powodzeniem „produkuje się” już w tej chwili. Swoistą rewelacją stało się odkrycie, iż komórki macierzyste znajdują się we krwi pępowinowej. Można sobie wyobrazić, że krew pobraną tuż po urodzeniu, przechowujemy w banku i w razie potrzeby hodujemy z niej własne organy do przeszczepu. Jest to prawdziwa rewolucja!

– Wszystko to brzmi jak bajka, ale chyba nie samymi sukcesami żyje współczesna nauka? Czasem można nawet odnieść wrażenie, iż w miarę dokonywania kolejnych rewolucyjnych odkryć uświadamiamy sobie, dowiadujemy się o istnieniu coraz to nowych nieznanych dotąd obszarów, wymagających pilnego rozpoznania. To prawdziwa ironia i paradoks (chyba pozorny?), ale wraz z nowymi odkryciami rodzi się coraz więcej pytań, na które nie znajdujemy odpowiedzi, słowem, sukcesywnie poszerza się krąg ludzkiej niewiedzy, a często i bezradności...

– To prawda. Wciąż napotykamy tematy przekraczające poziom naszej kompetencji. Jednym z nich są z pewnością choroby nowotworowe. Wprawdzie zlokalizowanie genu, który jest sprawcą nowotworu, już dziś pozwala na leczenie go metodami genetycznymi. Dzięki identyfikacji ludzkiego genomu możemy przewidywać prawdopodobieństwo wystąpienia u danej osoby choroby. Niestety, już dziś wiadomo, że tylko nieliczne choroby nowotworowe są uzależnione od mutacji pojedynczych genów, większość to zjawiska o wiele bardziej skomplikowane i dlatego wiele chorób nowotworowych wciąż wymyka się naszemu rozumieniu.

Inny przykład to AIDS, na który nadal nie mamy lekarstwa. Coś w tej sprawie dzieje się zresztą na moim podwórku. Jednym z moich sąsiadów w gmachu UNESCO jest Luc Montagnier, profesor Instytutu Pasteura w Paryżu i prezes światowej fundacji na rzecz walki z AIDS. Ta prywatna, a więc pozarządowa, organizacja od lat współpracuje z UNESCO. Działa w moim departamencie i ja za tę współpracę odpowiadam. Profesor Montagnier – przypomnę – wielki humanista i uczony (a przy tym uroczy człowiek!) jest współodkrywcą (z Robertem Gallo) wirusa HIV wywołującego AIDS. Dziś prof. Montagnier koncentruje się na programie walki z AIDS w Afryce, który realizuje wspólnie z UNESCO. Jak wiadomo, wirus HIV rozprzestrzenia się drogą płciową, przez osocze i przez krew. Tymczasem ostatnio okazało się, że HIV jest przenoszony także z mlekiem matki. Innymi słowy, niemowlę w trakcie karmienia piersią otrzymuje dawkę wirusa, który nie ulega zniszczeniu w przewodzie pokarmowym, przedostaje się do krwi dziecka, tam rozwija i prowadzi do tragicznego końca. Ironią

losu jest, że dzieje się tak głównie w Czarnej Afryce. Dawniejsi kolonizatorzy, a późniejsi światli doradcy tych krajów, czyli nasza stara Europa, tłumaczyli im, prowadzili hataśliwe kampanie informacyjne o konieczności karmienia niemowląt piersią, przekonywali, że najzdrowsze dla dzieci jest mleko matki. Towarzyszyła temu wielka akcja skierowana przeciwko światowym koncernom, usiłującym sprzedawać tam sztuczne odżywki dla dzieci. Organizacje humanitarne oskarżały wielkie firmy spożywcze o pozbywanie się w krajach afrykańskich niepełnowartościowych, przeterminowanych produktów itp., gdy trzeba upowszechniać zwyczaj karmienia piersią.

Tymczasem dzieje się tak, że dziecko – nawet jeżeli jego matka jest nosicielem wirusa HIV – rodzi się zdrowe. Łożysko ludzkie, które ma tzw. ścisłe złączenia pomiędzy komórkami, w jednej z warstw swojej struktury działa jak filtr, który uniemożliwia przedostanie się z krwi matki do krwi noworodka większości niechcianych związków, w tym wirusów. Dziecko w łonie matki jest całkowicie zdrowe. Jeżeli poród odbywa się w warunkach higienicznych, z zachowaniem wszelkich środków ostrożności, nie ma powodu, żeby dziecko urodziło się chore. I oto zdrowe dziecko zaczyna ssać pierś matki i przejmuje wirusa. Tragedia! Oto jaka jest prawdopodobna przyczyna tego ogromnego wzrostu zachorowań na AIDS wśród afrykańskich noworodków. Są kraje, w których już 70% populacji jest zarażonych wirusem HIV, a zatem zagrożonych wyginieciem. W tych okolicznościach zarówno prof. Montagnier, jak i inni badacze AIDS na świecie stoją przed niesłychanie trudnym wyzwaniem.

– Czy fakt, że wciąż nie udaje się wyhodować szczepionki na AIDS, jest wynikiem braku środków na badania, czy też raczej innych czynników?

– Myślę, że tyle pieniędzy już włożono i nadal się wkłada w te badania, że trudno byłoby powiedzieć, iż w ich braku tkwi przyczyna niepowodzenia. Prawdopodobnie jest to zjawisko na tyle skomplikowane pod względem badawczym, że wymaga dużo więcej czasu, niż byśmy sobie tego życzyli. Ciekawe rozmowy na te tematy prowadzę z prof. Montagnierem, który jest przecież odkrywcą wirusa HIV. Otóż ostatnio skłania się on ku teorii, że AIDS nie jest wywołane przez samego wirusa, ale przez jego połączenie z równoczesnym zakażeniem mykoplazmą, czyli zupełnie innego rodzaju prymitywnym organizmem. Faktycznie więc to mykoplazma jest przyczyną wszystkich następstw tej choroby, czyli guzów, chorób nerek, płuc itd. Pozostaje zatem pytanie, jak to leczyć? Jeśli francuski uczonec ma rację, trzeba by rozpocząć wielkie badania mykoplazmy. Sama szczepionka przeciwko wirusowi jeszcze nie załatwia sprawy. Tymczasem sekundowa reakcja wirusa z istniejącą w organizmie mykoplazmą powoduje, że rozpoczyna się zupełnie inna kaskada zmian, których szczepionka nie jest już w stanie powstrzymać. Potrzebujemy więc szczepionki na mykoplazmę, jak dotąd nikt jej jednak nie wyprodukował. Chciałbym jednak wyraźnie zaznaczyć, że jest to tylko hipoteza badawcza prof. Montagniera, która, żeby ją uznać za prawdziwą, wymaga udowodnienia. Niemniej jest ona interesująca i zdaje się potwierdzać inną prawdę: jak mało jeszcze wiemy i jak mało rozumiemy z otaczającego nas świata, skoro jedna hipoteza może wyrzucić do góry nogami wszystko, co do tej pory w tej materii ustaliliśmy. Podobnie rzecz wygląda z badaniami nad szczepionkami na AIDS. Montagnier dotychczas prowadził te badania sam. Od niedawna jednak współpracuje ze swym amerykańskim kolegą prof. Gallo, z którym prawie jednocześnie odkrył wirusa HIV. Obaj uczeni po dwudziestu latach pogodzili się i podpisali porozumienie. Pracują obecnie w ramach programu Najpierw Rodzina (*Family First*), który z ramienia UNESCO koordynują. Celem

programu, współfinansowanego przez UNESCO i rząd włoski, jest wyprodukowanie i dystrybucja szczepionki blokującej przenoszenie wirusa z matki na dziecko. Adresatem programu są kraje Czarnej Afryki. Badania nad różnymi rodzajami szczepionek trwają już dwa lata. Gallo, dyrektor Instytutu Wirusologii Ludzkiej na Uniwersytecie w Baltimore, prowadził obserwacje grupy amerykańskich dzieci. Wynika z nich, że organizm noworodka wytwarza przeciwciała w jakimś sensie inne niż te, które produkuje system immunologiczny dorosłego człowieka. Przede wszystkim dynamika ich wytwarzania jest szybsza. Okazuje się, że młody organizm jest ewolucyjnie przygotowany do skutecznej obrony w momencie przyjścia na świat. Musi stawić czoła bakteriom, wirusom i wszelkim możliwym patogennym czynnikom zewnętrznym, z którymi styka się po raz pierwszy w życiu. W łonie matki był chroniony filtrem łożyska. Na zewnątrz jego system immunologiczny daje się pobudzić do wytworzenia przeciwciał także wirusa HIV, czego normalnie nie udaje się osiągnąć u człowieka dorosłego.

Przy okazji chciałbym zwrócić uwagę na jeszcze jeden problem – ogólnej wiedzy społeczeństw o nauce. A jest ona mizerna. Zbyt słaba popularyzacja, zbyt mało zrozumienia dla współczesnych badań, a także potrzeby ich prowadzenia, stwarzają grunt dla rozmaitych wróżb i horoskopów. Zjawisko tyleż powszechne co przerażające, gdyż faktycznie spychające prawdziwą naukę na margines realnego życia. Atrakcyjność wróżbiarstwa podsuwającego łatwe recepty na życie powoduje również, iż coraz mniej młodzieży łączy swoje zawodowe kariery z nauką. Coraz mniej osób, zarówno w Polsce jak i na całym świecie, studiuje na wydziałach matematycznych, fizycznych czy chemicznych. Kryzys ten zdaje się na razie omijać biologię, ale to tylko kwestia czasu.

Przyczynę tego stanu rzeczy upatrywałbym w czynniku finansowym. Pozycja społeczna uczonego mierzona dochodami jest mizerna. Brak zrozumienia dla konieczności rozwoju nauki jest dla współczesnych społeczeństw i ośrodków decyzyjnych prawdziwym wyzwaniem. Jest to także wyzwanie dla takich instytucji jak UNESCO.

– Jest Pan jedynym albo jednym z nielicznych Polaków zajmujących wysokie stanowisko w hierarchii i strukturze UNESCO...

– Prawdę mówiąc, chyba jedynym. W każdym razie osobiście nikogo innego nie spotkałem, jeśli nie liczyć dr Jana Sadlaka, dyrektora Biura UNESCO w Bukareszcie, który jednak trafił do naszej organizacji z ramienia Kanady, jako obywatel kanadyjski. W informatorze UNESCO można spotkać nazwiska swojsko brzmiące, ale są to zazwyczaj pracownicy niższego szczebla, a poza tym nie mam żadnej gwarancji, że przyznają się oni do polskości. Mogą z powodzeniem reprezentować inne kraje.

– No właśnie. Z tym wiąże się następane pytanie: czy instytucje odpowiedzialne za naukę w Polsce mają świadomość, że w ważnej światowej organizacji mamy „swojego człowieka”, który mógłby, przynajmniej teoretycznie, pełnić rolę polskiego lobby?

– Ta sprawa ma dwa aspekty. Trzeba pamiętać, że w takiej instytucji jak UNESCO funkcjonariuszom cywilnym nie wolno reprezentować interesów kraju pochodzenia. W momencie otrzymywania nominacji na stanowisko podpisuje się wręcz coś w rodzaju „lojalki”, czyli zobowiązanie się z tą chwilą do reprezentowania wyłącznie interesów tej instytucji, pracy dla niej, a nie dla własnego kraju. Ale oczywiście życie ma swoje prawa. Jeśli pracuje tutaj większa grupa osób jednej narodowości, to mimo wszystko tworzy swoje nieformalne lobby, własną grupę nacisku. Doskonale to widać na przykładzie Francji. Fakt, że UNESCO jest

ulokowane w Paryżu sprawia, iż Francuzi stanowią bardzo silną grupę pracowniczą, a ich instytucje i przedsiębiorstwa partycypują w wielu formach współpracy. Ale to nie jedyny przykład. Zazdrość może budzić postawa i pozycja Węgrów, świetnie tu zorganizowanych i – można powiedzieć – wszędzie obecnych. Jest to coś, czego my na forum międzynarodowym wciąż nie potrafimy zrobić.

Jak to jest postrzegane w kraju? Moje doświadczenie w tej sprawie jest dość smutne. Od samego początku, kiedy zgłaszałem moją kandydaturę do konkursu, miałem wrażenie, iż pies z kulawą nogą się tym nie interesuje. Gwoli prawdy, muszę też dodać, że nikt mi nie przeszkadzał, co w Polsce jest już sukcesem, a wręcz MSZ podpisało i wysłało moje papiery, czyli formalnie miałem poparcie. Najpierw uczestniczyłem w konkursie na stanowisko zastępcy dyrektora generalnego ds. nauki, czyli oczko wyżej od stanowiska, jakie obecnie piastuję. Dziś wiem od kolegów z UNESCO, że miałem realne szanse na sukces. Znalazłem się na czele „krótkiej listy” trzech osób jako kandydat najlepiej przygotowany merytorycznie do tej pracy. I w tym momencie tym, co zadecydowało o wyborze, było rzeczywiste poparcie kraju. Wygrał Niemiec, gdyż Niemcy ostro stanęli za swoim kandydatem, widząc w jego wyborze najlepszy sposób na utrzymanie swoich wpływów na forum międzynarodowym. Towarzyszyły temu listy od najwyższych władz, telefony, wizyty ambasadora. Równocześnie zadziałał czynnik dodatkowy. Niemcy, jako kraj silny, też są UNESCO potrzebne, UNESCO z kolei ma ułatwioną drogę współpracy z ich rządem. To wszystko jest systemem naczyń połączonych. Jeżeli my nie popieramy swoich kandydatów, jeżeli jesteśmy nieobecni w przedsięwzięciach tej instytucji, to nie czujemy i nie rozumiemy potrzeby uczestnictwa w jej działaniu. Stąd wynika przekonanie, że UNESCO jest organizacją niepotrzebną. Z drugiej strony UNESCO, dostrzegając obojętność jakiegoś kraju wobec swoich działań, też nie widzi potrzeby popierania jego kandydatów, popiera natomiast kandydatów z tych krajów, które rozumieją sens istnienia i działania tej instytucji. I koło się zamyka.

– Wiele emocji i niepokoju budzi dzisiaj stan nauki w Polsce i jej przyszłość. Obecność Polaków w różnych organizacjach międzynarodowych z pewnością mogłaby pomóc, choćby poprzez dostęp do informacji o światowych trendach, możliwościach finansowania badań, programach itd. Patrząc z perspektywy Paryża i UNESCO, jak Pan postrzega politykę kadrową naszego kraju w stosunku do organizacji międzynarodowych? Czy Polska prowadzi dzisiaj w ogóle jakąś politykę kadrową na zewnątrz? A jeśli tak, to jaką i czy można w niej dostrzec jakieś priorytety?

– Oczywiście, jakaś polityka jest, bo nie można powiedzieć, że w ogóle jej nie ma. W MSZ np. funkcjonuje departament ONZ. Papiery do UNESCO można było oczywiście złożyć bezpośrednio w Paryżu, ale ja skorzystałem z pośrednictwa. Urzędnicy MSZ są pomocni, podpisują niezbędne dokumenty, wysyłają je, bierze w tym udział nasz stały przedstawiciel przy UNESCO. Nie można więc powiedzieć o braku zainteresowania. Ale ten poziom zainteresowania nie wystarcza, by wygrywać duże sprawy. Na swoim przykładzie, z własnych obserwacji wiem, że aby ubiegać się o stanowisko w tej światowej organizacji o randze porównywalnej z wiceministrem, nie ma się szansy, jeżeli nie idzie za tym czynne poparcie własnego kraju na szczeblu prezydenta i premiera, ostra korespondencja, wizyty w UNESCO i spotkania z dyrektorem generalnym. Tak się te sprawy załatwia. Sam list popierający nie wystarczy. Muszą być konkretne działania. Ja takich nie dostrzegłem, co może stwarzać wrażenie,

iz taka polityka w naszym kraju w ogóle nie istnieje lub też w odniesieniu do UNESCO nie była priorytetem. Można sobie wyobrazić, że priorytetem będzie Unia Europejska, bo ona teraz stanowi wyzwanie. Ale zadaję sobie pytanie, czy jeżeli nie umiemy zorganizować lobbingu w organizacji globalnej, to czy potrafimy to zrobić w Unii Europejskiej? To są pewne przyzwyczajenia, pewne kanony zachowań, które trzeba długo wypracowywać, wykształcić. Potrzeba ludzi rozumiejących zasady polityki międzynarodowego lobbingu, potrafiących się w tych środowiskach obracać.

Po objęciu stanowiska w UNESCO zaproponowałem osobom odpowiedzialnym za sprawy nauki w Polsce, żebyśmy jako kraj włączyli się do programu współpracujących ekspertów (*associated experts*), który działa w każdej ONZ-owskiej organizacji. W UNESCO jest to „narzędzie” cenione. Polega zaś na tym, że kraj finansuje 2–3 letni pobyt młodego specjalisty, przeważnie po doktoracie, którego pasjonuje dyplomacja naukowa, ekonomiczna czy polityczna. Miejsce pracy swojego eksperta wybiera oczywiście kraj. W sąsiednim biurze pracuje właśnie w tym charakterze młodsza koleżanka ze Szwecji, reprezentująca nauki biologiczne. Po upływie tych 2–3 lat kandydat, instytucja, w której pracował i rząd finansujący pobyt zastanawiają się wspólnie, jak dalej wykorzystać kandydata. Jeżeli pragnie on stać się pracownikiem etatowym tej instytucji, to oczywiście przechodzi przez sito, zostaje poddany rutynowym procedurom kwalifikacyjnym i po uzyskaniu pozytywnych opinii jest zatrudniany na normalnym etacie. Jeżeli krajowi bardzo zależy na powrocie swego specjalisty, to on oczywiście wraca i staje się pracownikiem czy to ministerstwa nauki, czy ministerstwa spraw zagranicznych, w którym funkcjonuje jako ekspert od spraw UNESCO. Jest sprawą oczywistą, że po 2–3 latach praktyki posiadał on wiedzę o zasadach i mechanizmach działania organizacji, wie, z kim należy rozmawiać, by coś konkretnego załatwić itd. Dzięki tej praktyce w administracji danego kraju wykształca się element „przełożenia” na organizację międzynarodową. Tak postępują wszystkie kraje skandynawskie, tak działa Francja, Wielka Brytania, tak działali do tej pory Amerykanie, nie będąc przecież członkami UNESCO. Ich eksperci wracali potem do Departamentu Stanu i pisali raporty, na których podstawie Stany Zjednoczone oceniały, czy warto już do UNESCO powrócić, czy jeszcze nie. Przypuszczam, że gdyby nie takie właśnie działania, gdyby nie obserwacja od wewnątrz procesu reform wprowadzanych w tej organizacji, zapewne długo jeszcze by do niej nie powrócili. Tymczasem w Polsce nie zetknąłem się z najmniejszym zainteresowaniem tym problemem. Odpowiedź jest zawsze taka sama: kto za to zapłaci? Trzeba bowiem zapewnić pensję wystarczającą w paryskich warunkach, gdy tymczasem w budżecie nie zapisano takiej pozycji itd. itp. Mam nadzieję, że kiedyś sytuacja ta zacznie ulegać zmianie. Tymczasem jednak, uczestnicząc w rozmaitych gremiach oceniających kandydatów zgłaszających się do pracy w UNESCO, nie widzę w ogóle kandydatów z Polski. Nie ma zgłoszeń, brak zainteresowania, nikt w kraju tego nie stymuluje. Płacimy składki członkowskie i nie interesuje nas ich przeznaczenie.

Rozmowę przeprowadził *Adam Gałkowski*